

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 124

№ 10. | Warszawa, 3 (16) maja 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Mały rabuś.

AKLIMATYZACYA BAŻANTÓW.

(Ciąg dalszy.)

Dwa są systemy sztucznej hodowli. Jeden zwyczajny, poprzednio w głównych zarysach opisany, drugi na produkowaniu jaj w klatkach oparty, który wyłącznie prawie ma zastosowanie w Anglii. Ten drugi sposób, gdzie się zamyka na zawsze do jednej klatki po 5 kur i jednym kogucie, jest trudniejszy, ale dużo lepszy, bo daje najwięcej i napewno zalężonych jaj. Można z powodzeniem wylęgać jaja w wylęgarniach sztucznych lub też podsadzać pod indyczki, kury japońskie i kury yokohama; potem dalszy przebieg hodowli ten sam.

Wogóle przy chowaniu nie więcej jak 400 do 500 sztuk rocznie, koszt wychowania jednej sztuki przy bardzo umiejętnej opiece wynosi około dwóch rubli. Ponieważ się strzela tylko koguty, a tych jest mniej więcej tyle, co kur, ponieważ też nigdy się nawet $^3/_4$ kogutów obecnych nie potrafi wystrzelać, łatwo zrozumieć, że zysku bażanty nie dają. Ten sam kogut, który razem z niestrzelaną kurą kosztował około czterech rubli, wart jest na targu 1 rb. 65 kop., o ile się jeszcze nie trafi na nadprodukcyę bażantów w sezonie polowań. Łatwo więc obliczyć, że najlepsza nawet hodowla jest bardzo zbytkowną przyjemnością. Co innego jeśli się chowa tysiące sztuk, jeśli się już ma silną rzeszę bażantów dzikich i tę ostatnią stale dużemi ilościami kur na wiosnę zasila. W takim tylko razie mogą koszta być mniejsze.

Jeżeli się jednak nie pragnie wykładać dużego kapitału, czekać parę lat i jeżeli się nie ma doskonałego bażantarnika, dużo taniej jest potrzebny co roku remont zakupywać w jesieni, przezimować w wolierze i na wiosnę wypuścić. Jest to najtańszy i najpewniejszy sposób, aby mieć stale dużo bażantów. Naturalnie nie warto tego próbować, gdzie się nie ma sprzyjających warunków.

Weźmy jako przykład, że ktoś życzy sobie mieć co roku 200 kogutów do zabicia. Urządzenie prawidłowej bażantarni kosztowałoby koło 4,000 rb. i wymagałoby paru lat czasu, zanim kultury, etc. stałyby się użytecznemi. Potem roczny wydatek wyniósłby w najlepszym razie, około 1,000 rb. (licząc w to pensye, utrzymanie i strzałowe bażantarnika), aby wyprodukować mniej więcej 500 bażantów, z których na jesień możnaby zabić 200 kogutów. Ponieważ wartość tych ostatnich jest 330 rb., koszt roczny, prócz kapitału zakładowego, wyniósłby 670 rubli. Zostałoby w bażantarni mniej więcej 250 kur i 50 kogutów, z których trzy czwarte wyginie napewno przez zimę, i na wiosnę mało co zostanie. Jeśliby jednak złapać z nich około 150 kur i 22 kogutów i przezimować w wolierze, toby można napewno mieć na wiosnę jakich 125 kur i mniej wiecej 20 kogutów, coby wystarczyło do wcale niezłej hodowli naturalnej. Koszt przezimowania tychże 170 sztuk po 60 kopiejek wyniósłby mniej więcej 102 ruble. I tak robiąc w dalszym ciągu, teraz już nawet zwinąwszy sztuczną bażantarnię, możnaby dojść do ładnego polowania.

Ale trzeba zwrócić uwagę na tę okoliczność, że nie każdy potrafi wyprodukować sztucznie 500 bażantów kosztem tylko tysiąca rubli. Dużo prościej wcale nie chować, tylko co jesień bażanty kupować i to tyle, ile potrzeba każdego roku, tak kur, jak kogutów.

Cena jest rozmaita. W Plohmuhle (Schloss Nitsch) na Szląsku Pruskim cena bażanta żywego w jesieni (naturalnie angielskiego, bo czeskie dużo są gorsze) wynosi przy ilości niemniejszej jak 100 sztuk, 8 marek za sztukę. Są lata, gdzie cena bywa wyższą, a na wiosnę dochodzi do 12 marek... W Wiedniu cena bażantów jest 5 do 7 guldenów. U nas, w kraju, jak np. w Zyplach, sprzedaje się zwykle sztukę po trzy ruble.

Jeżeliby się w jesieni kupiło 150 kur i 22 koguty za 516 rubli (względnie 1,376 marek) i przezimowało je kosztem 102 rubli, toby przy ogólnym koszcie 618 rubli, można prawie napewno liczyć na 200 kogutów dzikich do odstrzelenia, czyli przy ich wartości sprzedażnej 330 rubli, wydałoby się ogółem 288 rubli, zamiast 670 rubli przy ryzykownej hodowli sztucznej. Cyfry te nie potrzebują chyba komentarzy.

Pragnąc w krótkim przeciągu czasu dojść do bażantów bez wielkich nakładów i ryzyka, należy przedewszystkiem wybrać odpowiednią miejscowość, nie za blizko dużych lasów położoną, a obfitującą w wodę i piasek. W braku dwóch ostatnich, niezbędnych warunków, łatwo kazać w kilku nizinach wykopać głębokie a płaskie sadzawki, obsadzone wierzbą koszykarską, oraz po górkach słonecznych pozwozić duże kupy piasku, aby bażanty mogły się grzebać

Alfred Lorek.

PRZYGODA MYŚLIWSKA REDAKTORA.

(Humoreska konkursowa).

(Dokończenie).

Uszli zaledwie kawałek drogi, gdy redaktor poczuł, że po całonocnej, potężnej ulewie nowe, eleganckie, żółte buty zaczynają przemakać. Ale nic sobie nie robił z tej niewygody, w nadziei, że nogi zaraz się rozgrzeją i wyschną. Zapalił nowego papierosa i nie mówił nic o tem towarzyszącemu leśniczemu.

Po jakim godzinnym ostrym marszu, nogi nietylko nie rozgrzały się ani wyschły, lecz stały się jeszcze więcej mokre, do czego przyłączyły się następnie bóle w stawie kolanowym i łydkach. Redaktor przeklinał już w duchu całą wyprawę, ale nareszcie doszli do polany, gdzie na skraju leśniczy wyznaczył mu stanowisko. Gęsty chróst zasłaniał tutaj myśliwego. Puks kiwał głową, jakby niezadowolony; wprawdzie redaktora uważał za kolegę, ale zazdrościł mu widocznie wygodnego stanowiska, jakie wybrał dla niego życzliwy leśniczy.

Dużo czasu jednak jamnik nie miał na rozmyślania; leśniczy gwizdnął i szedł z nim dalej, mrucząc pod nosem:

— Lepiej zawsze być po za linią strzału conajmniej od tego pana, boć niewiadomo do kogo i w którą stronę wymierzy.

Redaktor więc został sam jeden! Za godzinę miał go leśniczy odwiedzić na stanowisku. Ze strzelbą na ramieniu stał tutaj redaktor i rozglądał się. W lesie jednak było pięknie o tej godzinie rannej, bo słońce przyświecało także wspaniale z poza gęstwiny drzew, złocąc wszystko na horyzoncie.

— Gdyby jeszcze teraz zjawił się kozioł, tobym — myślał redaktor — zapomniał o wszelkich niewygodach i byłbym zupełnie zadowolony.

Tymczasem wokoło panuje cisza grobowa!

— Jak też długo stoję już tutaj? - zapytuje i wyciąga zegarek. Ściśle pięć minut ubiegło od czasu, gdy nie słychać odgłosu kroków leśniczego.

— Dopiero—!

Nagle uczuł zimno w nogi, zauważył też teraz, że w jego butach utworzyło się tymczasem prawdziwe jeziorko.

— No, dopiero ci będę kichał porządnie. — Żeby się już raz nareszcie ukazał ten kozioł.

Znowu spogląda na zegarek—, dziesięć minut.

i wygrzewać na słońcu. Warunkiem *sine qua non* jest obecność dużych świerków, gdzieby bażanty w zimnych nocach znalazły osłonę od wiatru, oraz nizkie gąszcze liściaste i szpilkowe, które już po jednorazowem strzyżeniu otrzymać można i stale co roku strzydz należy. Gdzie gąszczów niema, trzeba je zasadzać, nawożąc końskim nawozem pod każdy świerczek, co już po trzech, czterech latach, daje wcale niezłe zwarcie. Jeżeli niema piasku, wody, dużych świerków, gąszczów i jasnych polan, jest to dotkliwy brak, który właśnie staje się jedną z najważniejszych przyczyn, zmuszających bażanty do wędrówek za niemi po dalszej okolicy, skąd już nie wracają.

Najodpowiedniejszym jest mały lasek, oddzielny, rozległości około 40 mórg, wśród pól dworskich, z drzewostanem mieszanym, licznemi polanami, z gruntem pagórkowatym, tworzącym miejsca zaciszne, co jednak nie jest absolutnie potrzebne. W braku osłon naturalnych, dobrze jest na zimę porobić w lasku duże budy, lub ściany z gałęzi świerkowych od strony, skąd wieją przejmujące wiatry. Dalszym warunkiem są naturalne schronienia między polami, a więc wszędzie rozsiane małe, gęste remizy, o ile możności z małemi sadzaweczkami, które i dla kuropatw oraz zajęcy są niezbędne i zresztą już prawie wszędzie są zaprowadzone. Remizy te muszą być strzyżone, inaczej wkrótce przestają dawać schronienie. Ostatnim warunkiem są małe poletka, przy rewirze bażancim położone i specyalnie dla bażantów obsiewane mieszanką ze zboża jarego, kukurydzy, prosa, hreczki, konopi i słoneczników. Im więcej różnych, gdzieindziej w polu nierosnących roślin, o różnej porze dojrzewania, tem lepiej. Najlepszą z nich jest kukurydza, którą w porze dojrzewania trzeba do ziemi nałamać i nieco wyłuskać z pochew, a także słoneczniki i konopie. Nawet kartofle i inne okopowe są ulubioną paszą bażantów. Prosty, ale sumienny i uczciwy gajowy, jednym koniem może te pólka uprawić i obsiać. Nieraz taki krajowiec jest lepszy od zarozumiałego Szlązaka, który w swej ojczyźnie miejsca nie mógł znaleźć, a u nas uchodzi za mistrza od bażantów. Najlepszym bażantarnikiem przy hodowli dzikiej jest jednak zawsze zamiłowanie samego właściciela, będące gwarancyą stałej, nieustannej opieki.

(*C. d. n.*). *T. P.*

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

Na gruntach pszennych z odpowiedniemi remizami, przy troskliwej opiece, utrzyma się jeden zając na $2\frac{1}{2}$ morgach.

Na gruntach żytnich, potrzeba dla jednego zająca 5 i więcej morgów, na jeszcze uboższych 10 i 15 morgów nie będzie za wiele. Na ilość odstrzelić się mających zajęcy wpływa jeszcze położenie terytoryum łowieckiego, jego obszar, sposób wykonania polowania przez sąsiadów, ochrona wogóle, płodność zajęcy w danej okolicy i wpływy atmosferyczne.

Za zasadę jednak służyć powinna reguła, że lepiej mniej odstrzelić, aniżeli za dużo.

W naszym klimacie, każda okolica nadaje się z mniejszym lub większym skutkiem do hodowli zająca. Najodpowiedniejszą miejscowością są okolice o pszennej ziemi, poprzedzielane remizami lub naturalnemi zaroślami.

Na terenie falistym, przeplecionym małemi laskami, zając również ilościowo w dobrym stanie utrzymać się może. Mniej przyjazną miejscowością są piaszczyste równiny i z natury jałowe grunta; przy starannej jednak opiece można dojść do względnie znacznego stanu zajęcy.

Duże leśne ostępy naturze zająca nie odpowiadają, brak w nich bowiem owej rozmaitości paszy, której potrzebuje do pomyślnego rozwoju.

Okolice górzyste, o surowym klimacie, jak niemniej bagniste i podmokłe, jeszcze mniej sprzyjają jego rozwojowi, a grunta wapienne są dla zajęcy wprost wstrętne. Według tego zatem, co mamy, a czego nam brak, kierować musimy nasze zabiegi, aby wszystko to, czego zając do pomyślnego rozwoju po-

---

Nagle coś zaszeleściało w krzakach za nim.

Obejrzał się!

To tylko wiaterek poranny poruszył liście.

Teraz znowu cisza, niczem niezmącona.

Wrona z chrypliwem krakaniem unosi się chwilę w powietrzu i znowu wkoło, jakby wszystko wymarło.

— Co mi się stało? Coś mi tak dolega strasznie. Piersi mi coś ściska, jak obręczą żelazną, w gardle dusi. Lękam się!

Czego?

Las stoi samotny, pusty; wokoło ani żywej duszy. O niebezpieczeństwie jakiem niema co i myśleć. A jednak drżą mu ręce i kolana, a krew szybko krąży w żyłach, jakby kipiała.

To majestat lasu go przeraża, mimo, że sobie nic nie robił z tego. Teraz porywa go ta wielka, straszna cisza w lesie jodłowym.

Chętnie zakrzyknąłby jaknajgłośniej, byle usłyszeć dźwięk jaki; uciekłby stąd, dokąd go nogi zaprowadzą; opanowuje go myśl o tem, jak tu widzieć „człowieka, choć jednego człowieka".

Trzeba właśnie znać dobrze las, żeby wiedzieć, jak jego surowa piękność poranna bardzo nieodpowiednią jest dla domatorów.

— Dopiero pół godziny upłynęło, nigdzie wokoło niema śladu po leśniczym! Gdyby się on zjawił! Co mi tam po koźle, co po sławie myśliwskiej, gdybym tylko miał leśniczego koło siebie!

A gdy tak śledząc okolicę ze wszystkich stron, szukał leśniczego tęsknym wzrokiem, znowu coś zaszeleściało i oto... oto... zjawił się—kozioł!

Błyskawicznie przyłożył strzelbę do twarzy, palec chwycił za cyngel, ale nagle zatrzymał się.

— Dobrze celować i nie zawcześnie strzelić, tak, nie za wcześnie! — przypomniał sobie ostatnie słowa leśniczego, udzielone w postaci przestrogi.

— Tam do dyabła, ale leśniczy naturalnie zapomniał powiedzieć, kiedy to będzie właściwy czas, żeby kurek spuścić, a skąd ja mam o tem wiedzieć.

I kiedy kozioł, nic nie przeczuwając, szedł sobie spokojnie przez polanę i żerował, redaktor, trzymając broń przy ramieniu, rozmyślał, czy to teraz ta pora właściwa, czy nie!

Nagle jednak uczuł swędzenie w nosie; coś go tam świerzbiło i drażniło coraz natarczywiej, bez przestanku, bez ratunku; przeklęte, mokre nogi mściły się na nosie, sprowadzając szybko postępujący katar.

trzebuje, było mniej więcej w środku terytoryum łowieckiego przygotowane.

Naturalnie, że w polach, gdzie remiz nie było, potrzeba dosyć długiego czasu do ich wytworzenia, tymczasem więc na większych placach w remizie uprawić odpowiednią bulwę, lub oddać mogą dobrą usługę także remizy czasowe, założone z końskiego zębu lub kukurydzy, otoczone zasiewami zbóż, jarzyn i t. d. Do miejsca tak przygotowanego, wpuszcza się zające na wiosnę, sprowadzone z dalszych okolic w stosunku: jeden samiec na cztery samice.

Do rozpłodu najodpowiedniejsze są sztuki dwu lub trzyletnie.

Wypuszczanie zajęcy odbywać się powinno na wiosnę w dnie pochmurne, pojedyńczo jednego samca i cztery samice; następnego dnia można w innem miejscu znowu pojedyńczo taką partyę wypuścić i t. d. Jeżeli możliwe, to okresy wypuszczania jednej partyi po drugiej przedłużyć ile się da; nastręczy się tym sposobem jednej partyi sposobności do obznajmienia się z miejscowością i otoczeniem.

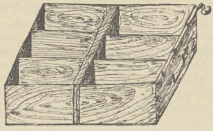
Razem nie wypuszczać jeszcze dlatego, że zające płoszą się wzajemnie i ewentualnie za obręb własności wyjść mogą.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wypuszczone zające, w miarę przyjemnego otoczenia i dostatecznego żeru, chować i rozmnażać się będą jaknajlepiej.

Jeżeli okoliczności przemawiają za tem, aby zające kupić z dalszych okolic, to niejednemu hodowcy może dogodniejsze będzie kupno, np. w październiku, bo w jesieni są zające zwykle o połowę tańsze, niż na wiosnę; w takim jednak wypadku i czas puszczania zajęcy na wolność, zależeć będzie od warunków miejscowych.

Gdy początek zimy jest mroźny, można się spodziewać, że wiosna będzie wczesna, wówczas poddawać karmę, aby zające pobudzić do wcześniejszych parkotów. Już poprzednio była o tem mowa, że koniczyna właśnie pobudza zające do wcześniejszych parkotów, zadawać więc drugi pokos pogodnie zebranej koniczyny, licząc po jednym funcie na dzień i sztukę.

Zające do przesyłki w inne okolice, wyłapuje się w sieci, lub lepiej w pułapki, a to dlatego, że z pułapki wygodnie jest ująć zająca za słuchy — jedyne miejsce, za które zająca bez szkodliwych następstw ujmować i przenosić można. Zając złapany w sieci, jest wystraszony, nie da się spokojnie wyjąć, wskutek czego, bierze się go gdzie można, a to szkodliwie oddziaływa na zdrowie, do tego stopnia, że dużo zajęcy ginie tego samego dnia, lub też na oko zupełnie zdrowe będąc, już na wolności giną po dwóch lub trzech tygodniach.



Skrzynka do przesyłki zajęcy na sześć sztuk.

Zające złapane pakuje się do specyalnie w tym celu przygotowanych koszy lub skrzynek z cienkich deseczek, każdego zająca oddzielnie. Kosze lub skrzynki należy po bokach i u góry obić słomą lub sianem i okryć płótnem, aby się zając nie uszkodził. Przegrodę dla każdego zająca osobno tak sporządzić, aby w niej mógł wygodnie siedzieć, ale żeby się nie mógł obrócić.

(C. d. n.).

Kozioł zaczął raptem wietrzyć! Nagle dało się słyszeć kichnięcie i strzał!

Przy kichnięciu strzelba sama wypaliła, ale rogacz kapitalny runął na trawę, celnym strzałem rażony!

Redaktor stał, jak wryty, a leśniczy pospiesznie wystąpił z krzaków. Obaj z Puksem patrzeli zdziwieni, to na strzelca, to na kozła. Wreszcie udali się wszyscy z powrotem do domu.

Leśniczy myślał: „A ja go tak sobie lekceważyłem! Czego bo nie potrafią ci pisarze z gazet!"

Redaktor myślał: „Kozła mam! Dobrze! Ale czy to ja go ubiłem, czy nie ja. Odtąd będę służył wiernie myśliwym i lasowi, ale tylko — piórem! Już mam dosyć tego..."

A jamnik kroczył dumnie między leśniczym a redaktorem; każdy krok Puksa zdawał się wyrażać: „Tak, my, współpracownicy gazet!"

Przełożył J. K--z.

Sprawy łowieckie.

II) Normowanie płci u zajęcy.

Powszechne, a zapewne i słuszne panuje przekonanie, że wśród zajęcy rodzi się więcej samców, aniżeli samic. Przewaga samców wpływa oczywiście na przyrost ujemnie, czyli, że mając w zwierzostanie więcej samców, aniżeli samic, ma się przychówek roczny w stosunku do ogólnej cyfry zajęcy, mniejszy, aniżeli gdyby w tej cyfrze przeważały samice.

Omówione twierdzenie tłómaczy się tem, że zające żyją w wielożeństwie i jeden samiec może wystarczyć na kilka samic. Redukcya nadliczbowych samców przynosi hodowli niezaprzeczenie pewien pożytek, redukcyi tej jednak nie należy posuwać za daleko z przyczyn wyłuszczonych niżej.

Niektórzy hodowcy radzą na 6 samic pozostawić jednego samca; uważam, że taki stosunek jest niewłaściwy i lepiej zrobi ten, kto zostawi jednego samca na 2, a najwyżej na 3 samice (w ogrodach zajęczych, lub w okolicach bardzo urodzajnych, o wysokiej kulturze, może być samic o jedną lub dwie na jednego samca więcej).

Normowanie płci opiera się głównie: *a*) na ochronie samic i *b*) na odstrzale nadliczbowych samców.

a) Aby ochronić samice, należy przyswoić sobie sprawność w rozpoznawaniu samca od samicy, a sprawność tę osiąga się ciągłą obserwacyą i doświadczeniem, myśliwy jednak musi mieć do tego niektóre przymioty, jak dobry wzrok, cierpliwość i t. p. Dla wprawy obserwować zające najlepiej podczas parkotów, bo samce zwyle z tyłu za samicami uganiają się.

Rozumie się, że nie każdy sposób polowania nadaje się do ochrony samic jednakowo, o czem się zaraz przekonamy, przechodząc kolejno sposoby polowań, i tak:

1) Przy polowaniu na wychodnego, nie niepokoi się wprawdzie zwierzyny, ale zdobyczą są zwykle samice.

2) Przy polowaniach z naganką, to zależy znowu od tego, jak polujemy; napewno jednak można powiedzieć, że np. w małych kotłach ginie stosunko-

wo samic najwięcej, dlatego polując w kotły, należy ich wielkość i ilość myśliwych tak oznaczyć, aby początkowa odległość między myśliwym a naganiaczem równała się mniej więcej 150 krokom, a tem samem odległość myśliwego od myśliwego była równa mniej więcej 300 krokom. Z uwagi na ochronę samic nie należy strzelać do zajęcy w kopnach (kotlinach), a tem mniej do tych, które dały się przejść i dopiero z tyłu za kotłem wymykają, bo przeważna część tych zajęcy to z pewnością samice.

Pozostałe sposoby polowania z naganką, z natury rzeczy na ochronę samic i odstrzał głównie samców, skutecznie wpływać nie mogą.

Przy polowaniu z wyżłem nie należy strzelać do tych zajęcy, które dobrze wytrzymały i które psa zbytnio się nie boją, bo to przeważnie będą samice.

O innych sposobach polowania, jak z psami gończemi, chartami i t. p., nie wspominam, bo przy ich wykonaniu nietylko o ochronie samic, ale wogóle i racyonalnej hodowli nie może być mowy.

b) Odstrzał nadliczbowych samców. Redukcyę samców wykonać najlepiej w czasie parkotów, jeżeli się zauważy, że za samicami ugania się po kilka samców; tutaj atoli wprawa w odróżnianiu samca od samicy jest pierwszorzędnego znaczenia, w przeciwnym bowiem razie możemy zwierzostanowi więcej zaszkodzić, aniżeli pomódz, bo w gonitwach kilku zajęcy razem, ostatni nie zawsze jest samcem.

Z drugiej strony, redukcyi samców nie posuwać za daleko, bo może się wydarzyć, że do rozpłodu zostanie za mało samców, co przy znanej pożądliwości samic odbije się szkodliwie na zwierzostanie, bo niejedna samica może być niezapłodniona, lub idąc za niespokojnym popędem, wyniesie się z danej miejscowości.

Odstrzał samców zacząć należy od starych osobników, a przeprowadzić go najlepiej w łagodne zimy, lub na początku jesieni, czyli wcześniej, aniżeli ustawa zamyka sezon polowania.

W celu podniesienia zwierzostanu należy przy wszystkich sposobach polowania przyjąć za zasadę, aby zwierzynę jaknajmniej niepokoić. Polowania z naganką są, jak wiadomo, hałaśliwe, raz do roku jednak i racyonalnie wykonane, złego wpływu na zwierzostan nie wywierają, bo zwierzyna, która cało wyszła z opałów, używa następnie cały rok zupełnego spokoju. Przeciwnie polowania z naganką wpływają poniekąd nawet korzystnie na normowanie stosunku płciowego, jak miałem sposobność przekonać się o tem w roku 1899, gdy na dwudniowem polowaniu padło:

I dnia	95 samic	+	76 samców	=	171	sztuk
II „	55 „	+	74 „	=	129	„
Razem	150 samic	+	150 samców	=	300	sztuk.

Niektórzy radzą zostawiać w celu podniesienia zwierzostanu t. zw. mateczniki, w których zupełnie się nie poluje. Sposób ten może być korzystny, ale matecznik powinien być położony nie na skraju, tylko w środku rajonu.

Wyłapywanie i znaczenie samic przez ucięcie połowy ucha w celu ich ochrony przy następnych polowaniach, może również przyczynić się do normowania płci, a zatem i do podniesienia zwierzostanu.

Manipulacye z naganką, jak obstawienie skrzydeł gęsto, a linie ludzi pędzących zwierzynę (front)—rzadko, ze względu, że samice, jako trwożliwsze i przysiadające, są przez naganke omijane i przepuszczane—lub żeby naganka w tym samym celu na paręset kroków przed linią myśliwych przystawała i t. p., nie mają dla normowania płci większego znaczenia.

Wiktor Stephan.

TERRIERY I PINCZERY.

(*Dokończenie*).

17. Clydesdale-terrier. (Terriery klajdesdalskie).

Szerść mają równie długą, gładką i jedwabistą, jak poprzednie. Różnią się od nich głównie uszami, które powinny być bardzo małe, lecz zawsze stojące i pokryte bardzo długim włosem, zwieszającym się na dół i zlewającym z włosem, rosnącym na policzkach.

Ogony, również ozdobione sutem piórem, nie obcinają się nigdy. Najbardziej ceniona maść terrierów klajdesdalskich jest ciemno-popielata, przyczem głowa powinna być jaśniejsza, z odcieniem srebrzystym; na grzbiecie maść powinna być nieco ciemniejszą i przechodzić stopniowo w jaśniejszą aż do brzucha; różnica jednak w odcieniu nie powinna być znaczną. Uszy i ogon mogą być nieco ciemniejsze od grzbietu.

Wzrost od 20 do 24 cm.

18. Roseneath-terrier.

Rasa zbliżona do skye-terrierów; szerść równie podwójna; spodni puch miękki i krótki; wierzchni ostry i długi około 10 cm. Różni się od skye-terrierów tem, że na uszach, które mogą być stojące lub zwieszone, włos jest miękki i lekko kędzierzawy, a na ogonie niema pióra, lecz rodzaj szczotki z ostrych, niezbyt długich włosów. Maści roseneath-terriery mogą być siwej, różnych odcieni, lecz najwłaściwszą jest czerwono-piaskowa z przymieszką włosów czarnych; uszy zaś i ogony powinny być zawsze czarne, co stanowi bardzo charakterystyczną cechę.

19. Dandie-Dinmont-Terrier.

Różnią się od czterech ras poprzedzających, stosunkowo większemi głowami, szerszemi łbami i krótszemi mordami. Uszy mają też duże, osadzone nizko i ku tyłowi głowy, formy trójkątnej i tak zwieszone, że przedni brzeg ucha zachowuje linię pionową. Oczy Dinmont-terrierów są duże, okrągłe i rozstawione szeroko. Charakterystyczną cechę tej rasy jest łys na kości nosowej, zaczynający się nad nozdrzami i zakończony ostrym kątem o $2^1/_2$ cm. wyżej. Szersć rozłożoną jest w sposób następujący: łeb pokryty jest włosem dość długim (około 5 c. m.), delikatnym i jedwabistym, tworzącym wydatną czuprynę; na uszach włos jest równie delikatny i gładki; na brzegach uszu rośnie fryzura z włosów, długich około 5 c. m.; lecz fryzura ta wyrasta dopiero w wieku dwuletnim; na grzbiecie szerść średnio długa (około 5 c. m.) jest mieszaniną włosów miękkich i nawpół twardych; ku dołowi coraz więcej przeważają włosy miękkie; na nogach szerść nieco krótsza, lecz na tylnej stronie nóg przednich istnieje fryzura z włosów delikatnych i długich; wierzchnia część ogona jest pokryta włosem krótszym i twardym, dolna obrośnięta jest rodzajem pióra z włosów miększych i najdłuższych (około 5 c. m.) ku środkowi ogona, a następnie coraz krótszych ku końcowi.

Maść Dinmont-terrierów bywa dwojaka; w obydwóch jednak wypadkach czupryna i fryzura na brzegu uszu powinny być znacznie jaśniejsze od reszty ciała, a im jaśniejsze, tem lepiej; uszy zaś same powinny być, o ile można, jaknajciemniejsze; tym sposobem ucho rysuje się, jako wydatna plama na tle czupryny i fryzury. Grzbiet i wierzchnia część ogona powinny być nieco ciemniejsze od boków i pióra na ogonie. Ogólna maść Dimnont-terrierów może być następująca:

a) różnych odcieni pieprzowo-siwej, od prawie czarnej do srebrzysto-siwej; psy wszystkich tych odcieni powinny mieć nogi przednie i tylne koloru ognisto-żółtego, łączącego się nieznacznie z kolorem ogólnym; *b)* różnych odcieni brudno żółtych, od czerwonawo-burej do blado-płowej; psy wszystkich tych odcieni powinny mieć czuprynę koloru śmietankowego i takież nogi, lecz ciemniejsze.

U obydwóch odmian palce powinny być znacznie ciemniejsze, aniżeli nogi. Białe włosy na piersiach lub na łapach nie liczą się za wadę.

Wzrost od 20 do 28 c. m.

Tablice stopni do oceny terrierów czwartej grupy.

	TERRIERY			
	Skye i Bedlingteath	Yorkshire	Clydesdale	Dandie-Dinmont
Wygląd ogólny	—	10	—	5
Głowa	15	15	15	10
Oczy	—	5	5	10
Uszy	10	5	10	10
Szyja	—	—	—	5
Korpus	15	—	15	20
Nogi i łapy	10	5	15	10
Ogon	10	5	10	5
Szerść	20	15	20	15
Maść	5	25	10	5
Kolor złoty	—	15	—	—
Wzrost	15	—	—	5
Razem	100	100	100	100

Grupa piąta.

20. Boston-terrier.

Jedyna ta rasa, mogąca być pomieszczoną w grupie piątej, właściwie, ani pochodzeniem, ani wyglądem nic ma nic wspólnego z powyżej opisanemi terrierami, ani wogóle z psami ostrouchemi. Są to skarłowaciałe buldogi z małą domieszką krwi innych ras. Jedynie zdolność szybkiego łowienia i duszenia szczurów i myszy mają wspólną z terrierami i dlatego bywają zaliczane do tej grupy psów i pomieszczane w niej na wystawach. Z tego powodu i ja wspominam tu o nich, zachowując więcej szczegółowy opis do właściwego miejsca i czasu.

August Sztolcman.

I-a WYSTAWA PSÓW,

urządzona przez Oddział hodowli psów rasowych.

Petersburg, *w kwietniu.*

W r. z. pisałem w „Łowcu Polskim" o rozłamie, jaki nastąpił w Towarzystwie miłośników psów rasowych, skutkiem rozgospodarowania się w niem partyi niemieckiej. Grupa członków, która wystąpiła wtedy z Towarzystwa, przyłączyła się gremialnie do Towarzystwa doskonalenia zalet polowych psów myśliwskich i zorganizowawszy w niem osobny Oddział hodowli psów rasowych, wystąpiła obecnie z pierwszą wystawą psów, koni myśliwskich i różnych przedmiotów, służących do polowania.

Pierwsze wrażenie, jakie sprawiała nowootwarta wystawa, było bardzo dodatnie. Olbrzymi maneż Michajłowski urządzono bardzo wygodnie i gustownie. Dużo miejsca, powietrza i światła, szerokie przejścia między wygodnemi boksami dla psów, obszerny ring z trybuną dla ekspertyzy, wszystko to składa się na całość bardzo sympatyczną. Po bliższem rozpatrzeniu się musimy przyznać, że ilościowo i jakościowo obecna wystawa należy także do zupełnie udatnych i zakasowała zupełnie zeszłoroczną jesienną wystawę, urządzoną przez zmniejszone Towarzystwo miłośników psów rasowych. Powodzenie obecnego popisu psów tem więcej może zadziwić, że nie biorą w nim udziału ani Cesarska, ani Wielkoksiążęce psiarnie, z wyjątkiem chartów W. Ks. P. A. Oldenburgskiego, oraz wielu przedstawicieli wyższych sfer wojskowych. Wstrzymali się też od udziału niektórzy członkowie T. M. P. R, jak np. pan Konstanty Beno, znany hodowca najlepszych w Rosyi fox-terrierów. Pomimo to wszystko, zgromadzono 550 psów, nie licząc małych szczeniąt, wystawionych na sprzedaż; znaczna część tej poważnej liczby jest bardzo dobra, dużo zaś egzemplarzy znakomitych. Szczególniej bogato reprezentowane są oddziały angielskich i irlandzkich seterów i wogóle wyżłów. Lecz przystąpmy do szczegółowego rozpatrzenia najważniejszych oddziałów, trzymając się porządku, przyjętego w katalogu wystawy.

1. Settery angielskie. Ilościowo i jakościowo najlepszy oddział na wystawie. Liczy on 79 okazów, w tem 74 cętkowanych po lawerakowsku i 5 czarnych. Najlepszym psem w tym oddziale, a podług zdania sędziego, anglika, p. Ferrow, najlepszym w danej chwili, angielskim setterem na całym świecie, jest stary nasz znajomy, czteroletni „Scotch-Boy", obecnie własność inżyniera Ryżowa. Pobił on wszystkich współzawodników w klasie otwartej i w klasie zwycięzców wystawowych i właściwie, podług ilości nagród, zdobytych na trzech wystawach, powinien uzyskać tytuł championa. Na przeszkodzie temu stanęły jedynie specyalne cele Oddziału hodowli psów rasowych, który, jako gałęź Towarzystwa doskonalenia *zalet polowych* psów myśliwskich, tytuł championa udziela tylko takim psom, które oprócz odpowiedniej ilości nagród na wystawach, zdobyły choć jedną pierwszą nagrodę na próbach polnych. „Scotch-Boy" zaś w probach polnych nie uczestniczył. Jestto duży, silny, o mocnej kości i przepysznie zbudowany pies, oryginalnej maści, gdyż cętkowany ciemno-kasztanowatemi plamkami. Podług zdania niektórych znawców, jedyną wadą, jaką można wynaleźć w Scotch-Boy'u, jest niedość sucha, nieco przyciężka głowa, lecz podług p. Ferrow, głowa taka jest właśnie odpowiednia do jego potężnej budowy, i nieco lżejsza psułaby ogólną harmonię. „Scotch-Boy" urodził się w Moskwie od psów importowanych (Sam-de-Peruveltz i Carmen); szczeniakiem nabyty został przez petersburskiego amatora, p. Małama, i dopiero na wiosnę zeszłego roku ustąpiony został p. Ryżowowi. Obecnie p. Ferrow proponował za niego 200 funtów, lecz oferta nie została przyjętą.

Dawniejszy właściciel „Scotch-Boy'a", p. Małama, był tryumfatorem w oddziale angielskich seterów. Wystawił on cztery egzemplarze, importowane z zagranicy, ze znakomitą championką „Dovey-Beauty" na czele, oraz pięć rocznych psów własnego chowu, po tejże „Dovey-Beauty" i „Darck-Willmore". Wszystkie te psy otrzymały złote lub duże srebrne medale, a oprócz tego przyznano im złote medale za parę (psa i sukę) i za grupę z sześciu psów i suk. Przy sądzeniu par i grup zwrócono uwagę nietylko na osobiste przymioty psów, ale głównie na jednostajność typu. Pomimo jednak liczebnej przewagi i ilości zdobytych nagród, p. Małama nie był bezwarunkowym tryumfatorem w tym bogatym oddziale. Nawet championka, „Dovey-Beauty", musiała ustąpić pierwszeństwa „Imbie" p. Dierżawina, suce, urodzonej w Rosyi w psiarni pana Popowa, a w grupie psów było nawet kilka lepszych od psów pana Małamy, nie licząc „Scotch-Boy'a", np. psy pp. Czawczawadze, Naryszkina, Aspergera i innych. Tylko w klasie młodzieży, w grupie psów, „Pride" p. Małama przeszedł pierwszym.

2. Settery irlandzkie. Chociaż ilościowo oddział ten nie dorównywa poprzedzającemu, gdyż liczy tylko 59 okazów, jakościowo wcale mu nie ustępuje. Tutaj bezwarunkowo panuje p. Chruszczew. Wystawił on czteroletniego, importowanego „Royal-Sovereigh'a" i sześcioro jego potom-

stwa (roczniaki, 3 psy i 3 suki). Oprócz tego dwóch potomków „R. Sovereingh'a" wystawił p. Piegow. Importowany pies p. Chruszczowa jest rzeczywiście niepospolitym okazem. Przedstawiony on był w porządku niezupełnie wystawowym, jak gdyby trochę wyliniały, a jednak potężną swą budową i ogólną harmonią kształtów pobił wszystkie inne psy w klasach: otwartej, zwycięzców polowych i zwycięzców wystawowych i otrzymał tytuł championa. Nieodrodna jego córka, „Mosiaka", idąc za przykładem ojca, pobiła wszystkie rywalki w klasach: otwartej i młodzieży i uznaną została za najlepszą sukę irlandzką na wystawie. Reszta potomstwa „R. Severeingh'a" zdobyła także wysokie odznaczenia, a oprócz tego p. Chruszczow otrzymał złoty medal w klasie par za „Royal-Sovereingh'a" i „Mosiakę" i także medal w klasie grup za wszystkie psy wystawione. W tym oddziale zwracały jeszcze uwagę psy ks. Orbeliani, p. Tarnowskiej, p. Durdinej, p. Chocanowskiej i innych.

3. *Settery szkockie.* Rasa ta, ciesząca się dotąd wielkiem powodzeniem w Moskwie, w Petersburgu liczy coraz mniej zwolenników. Na obecnej wystawie jest tylko 10 setterów czarnych, podpalanych, przeważnie dobrych, lecz zbliżających się typem coraz więcej do setterów angielskich i różniących się od nich tylko maścią.

Tak więc wszystkich setterów mamy na wystawie 148 i to w takim doborze, iż podług zdania, wypowiedzianego przez taki autorytet, jakim jest pan Ferrow, angielskie, najlepsze wystawy mogą tylko dorównać obecnej petersburskiej w oddziale setterów, przewyższyć zaś jej co do doboru okazów nie są w stanie. Zdanie to nie było grzecznem pochlebstwem, gdyż jednocześnie pan Ferrow wyraził się o dziale pointerów, że jakkolwiek jest on bardzo dobry i bogaty w wyborowe okazy, Anglicy mogą pobić go w każdej chwili swemi pointerami. Tu zaznaczyć wypada, że oddział pointerów bywa bogatszy na moskiewskich wystawach; w Petersburgu oddają pierwszeństwo setterom.

Jeszcze jedna uwaga. Zupełnie niewłaściwie z pomiędzy angielskich setterów wydzielono w katalogu settery czarne w osobny oddział pod nazwą *settery innych maści.* Chociaż obecnie ogromna większość angielskich setterów jest modnej, cętkowanej maści, ale istnieją jeszcze ostatki i innych różnych maści, które niemniej są angielskiemi setterami i nie ma żadnej racyi wyłączać je z tego oddziału.

August Sztolcman.

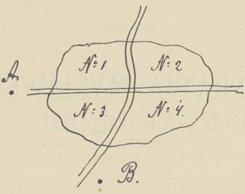
(*C. d. n.*).

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁÓW
p. t.
„Tępienie wilków".

(*Ciąg dalszy*).

Podstawą wysłuchów są następujące okoliczności: Ponieważ nie zawsze starym udaje się w ciągu jednej nocy dostarczyć z dalszych stron pożywienia, wilczęta, dręczone głodem, zwykle w porze świtania zdradzają swą niecierpliwość skomleniem i wtedy opiekunka gniazda, o której wyżej mówiłem, karci je charakterystycznym pomrukiem i targaniem za kudły, co do nowego skłania je skomlenia. Na wysłuchu jednak nie o to nam chodzi, bo głodne wilczęta, dręczone nadto przez muchy i komary, o ile jako tako podrosły, włóczą się po całej, zazwyczaj dosyć rozległej kniei i wskutek tego obława mogłaby się nie udać. Obowiązkiem więc wysłuchujących jest określić legowisko po powrocie starych, t. j., gdy wszystko przemawia za tem, że całe gniazdo obżarte, nieczułe na upał i brzęczenie owadów, zażywać będzie przyjemnej, dziennej syesty, stare zaś, zmęczone trudami drogi i dostawy łupu, nie oddalą się od swoich pociech. Wysłuch więc urządza dwu pewnych ludzi, codziennie wieczorem, od zachodu słońca aż do wschodu, którzy pod knieją, zajętą przez wilki, lokują się tak, aby rozdzielić ją na cztery mniejsze części, przy pomocy istniejących dróg leśnych lub linij. Poniższy rysunek objaśni tę operacyę:

I oto wieczorem po zachodzie słońca, wilczęta zaczynają skomleć, głosy po rosie wyraźnie uderzają ucho—następuje pomruk i pisk—to albo stare wychodzą za łupem i karcą niesforną hołotę, albo suka jałowa uspakaja swej pieczy powierzone, młodsze rodzeństwo. Ale nad ranem, gdzieś nad brzegiem kniei, stare „zaciągły" żałosnem wyciem!—to znak, że stare idą z łupem i zapytują, gdzie ich włócząca się całą noc po kniei, kochana rodzina znajduje się—, na wysłuchu wytężają ludzie uszy, niemal w słuch cali się zamienili i oto idzie po rosie odpowiedź suki i skomlenie młodych. Za chwilę zalega cisza, słyszysz bicie własnego serca, lub szelest spadłego liścia albo przebiegającej myszy... Wtem... pomruk jeden, drugi—czasem żałosne skomlenie, lub groźne warknięcie, o ile masz wiatr pomyślny, co ci dokładnie głosy przynosi—i oto wysłuch skończony. Obydwaj wysłuchujący schodzą się cicho w umówione miejsce. *A* słyszał „odzyw" na lewo, *B* zaś na prawo, to znaczy, że wilki ucztują w części kniei Nr. 2. Przykład drugi: *A* słyszał „odzyw" na lewo i *B* na lewo, to znaczy, że wilki są w części kniei Nr. 1 i t. d.



Nie zawsze jednak jedna noc wysłuchów wystarcza, zdarza się bowiem, że stare dopiero drugiej lub trzeciej nocy z łupem wracają. Dlatego też tak dobrze wysłuchy bez przerwy prowadzić należy, jak i myśliwych uprzedzić zawczasu, aby we właściwym dniu z obławą pospieszyć można było. Uprzejmy gospodarz dobrze się urządzi, zabawiając myśliwych polowaniem na ptactwo gdzieś na odleglejszym folwarku, nim wysłuchy przeprowadzą wytrawni ludzie, aby nie tracić czasu i posłańców, potrzebnych do zgromadzenia obławy.

Po raporcie z wysłuchu następuje z wysłuchującymi krótka narada, gdzie wilki mają „wagę", jaki jest wiatr w danym dniu, aby, jeżeli nie z wiatrem, to przynajmniej w pół wiatru pędzić knieję, poczem rozsyła się konnych po obławę, którą przyprowadzić powinni na umówione, a od kniei nieco oddalone miejsce, najpóźniej na godzinę 11-ą rano, aby rozpocząć polowanie przed 12-tą (nie wyłączając wcześniejszej godziny), gdyż wilki z południa już się ruszać zaczynają.

Ludzi do naganki nie należy używać w bardzo dużej ilości dla uniknięcia niepotrzebnego hałasu przy zachodzeniu; o ile knieja wilcza nie przenosi 150 morgów, wystarczy 50—60 ludzi w zupełności. W miejsce stawianych sieci, wystarczają w zupełności długie po kilkadziesiąt sążni, cienkie sznury, na których czepia się co $1\frac{1}{2}$ do 2 łokci różnokolorowe, jaskrawe szmatki, najlepiej białe i czerwone na przemian, któremi obstawia się boki kniei. A teraz, nim obławę sprowadzą, nim sznury opatrzą i poprawią, pozwólcie, że pomówimy o wyborze myśliwych na obławę wilczą, których bądź to mamy u siebie w gościnie, bądź to posłaliśmy raniutko po nich z wysłuchów.

Wilk z natury podły tchórz w knici, obdarzony znakomitym wzrokiem, słuchem i węchem, przy najlżejszym ruchu lub szmerze, błyskawicznym ruchem ginie z oczu myśliwego i nadto wraca po raz drugi na linię strzelców. Od myśliwego zatem wymaga się nietylko ładunka śrótu Nr. 0 i 00, ale i takiego zachowania się na stanowisku, aby sąsiadowi swemu nie zepsuł strzału, a zatem: ubranie winno być koloru otoczenia, nie wolno jest myśliwemu oblewać się wonnościami, ani palić na stanowisku tytuniu, wykonywać jakichkolwiek ruchów, łamać gałęzi, kaszleć, oczyszczać nosa i t. p.; z chwilą postawienia go na stanowisku, myśliwy może usunąć się w prawo lub lewo o kilka kroków, celem lepszego ukrycia się za krzakiem lub drzewem, włożyć w lufę ładunki, tłumiąc chrzęst zamykanej broni, przytrzymując sprężynę, i z palcem na cynglach odprowadziwszy kurki, pozostaje bez ruchu na stanowisku tak dobrze przed ruszeniem obławy, jak do skończenia gonu. Myśliwych, znanych z niespokojnego zachowania się na stanowisku, wyłącza się z obławy wilczej, gdyż nietylko że sami do strzału nie przychodzą, ale nieopatrznym ruchem, zaglądaniem w knieję, pochylając się, ba, nawet przedwczesnem przyłożeniem broni do ramienia, odstraszają sąsiadom tego ostrożnego zwierza, wymykającego z knici niezmiernie przezornie i ostrożnie, z ciągłem przystawaniem i badaniem knici węchem, wzrokiem i słuchem.

K. Satkowski

(*C. d. n.*)

WYPRAWA MYŚLIWSKA do Mongolii.

(*Dokończenie*).

W przeciągu ostatniego peryodu polowania widzieliśmy masę zwierzyny, szczególniej niedźwiedzi i dzików, ale zawsze albo ogromnie daleko, albo, co się najczęściej zdarzało, w takim gąszczu, że nie sposób złożyć się było. Las teraz zmienił swą postać. Modrzewie się rozwinęły, czeremcha zakwitła, a dołem pokrył się blado-różowym, delikatnym kwiatem jarnik, stanowiąc jednolite, śliczne tło dla zielonych haftów młodziutkich brzózek i dla bukietów białej czeremchy. Zapach tak szalenie odurzający, że po długim w lesie pobycie dostawaliśmy zawrotu głowy.

W Iro (kopalni) rozdzieliliśmy się z Feliksem: on pojechał, by zabrać chorego Anglika, ja pospieszyłem na fermę Karnakowa i stamtąd do Kiachty, gdzie mnie wzywały interesa. O fermie Karnakowa, która z czasem, jako pierwszy posterunek w Mongolii, historycznego nabierze znaczenia, dużo byłoby mówić. Nie należy to jednak do rzeczy, zaznaczę więc tylko, że gospodarstwa, chociaż w zawiązku, ślicznie prowadzone na sposób zupełnie zachodnio-europejski z pomocą maszyn i motorów, daje świetne rezultaty. Co prawda, to wyjątkowo sprzyjające zeszły się tutaj warunki. Masa łąk, a pola wszystkie dowolnie zalewane tak, że ani zbytniej wilgoci, ani też suszy się nie boją. Od Karnakowa do Kiachty jechałem razem z Simicynem, dyrektorem banku rusko-chińskiego, świetnym myśliwym i bardzo miłym człowiekiem. Zabił on przeszło 60 niedźwiedzi i w drodze, dzięki jego opowiadaniom i świetnej rzeczywiście trójce, nie poczuliśmy, kiedy sto wiorst do Kiachty przeszło. Droga idzie wszędzie czystym stepem, gładkim zupełnie, z masą dropi. Udało mi się na niemożliwe odległości trzy sztuki przez lunetę zabić; jeden kogut ważył 38 funtów. W cichej, księżycowej nocy Kiachta, a właściwie jej cerkiew, imponujące zrobiła na mnie wrażenie. Biała zupełnie, budowla bez tych okropnych, bizantyńskich kopuł, wygląda bardzo lekko. Przytem wszystko, począwszy od samego budynku, a kończąc na ogrodzeniu, w jednym, harmonijnie trzymane jest stylu.

Na drugi dzień poszliśmy zwiedzać chińską dzielnicę. Zaraz na wstępie oryginalne robi wrażenie zupełny brak okien, wychodzących na ulicę. Z obu stron ciągną się szeregi glinianych, jednopiętrowych domków, przerywane tylko szerokiemi bramami, przez które snopy światła na ulicę padają. Brama, widocznie, dużą odgrywa w życiu chińskiem rolę. Każda z nich w inny jaskrawy sposób, pomalowana w najrozmaitsze wyrzeźbiona dziwolągi, zwierzęta i powykrzywiane postacie, nosi u góry pisane złotem nazwisko właściciela. Przez bramę wchodzi się na czyściutki, kwadratowy najczęściej, dziedziniec, cały zastawiony kwiatami w dużych wazonach. Kwitną tu oleandry, błyszczą liście, jakby lakierowane, drzew pomarańczowych i cytrynowych, a między tem mnóstwem zieleni wszędzie wiszą klatki ze skowronkami chińskiemi. Przez oszklone wejście, pomalowane również w najjaskrawszy sposób, wchodzi się do właściwego magazynu. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to olbrzymia, pół pokoju zajmująca kanapa z poduszkami, a przed nią mały stolik z przyborami do palenia, z filiżankami do herbaty i w niektórych magazynach z przyborem do opium. Towarów nigdzie nie widać, conajwyżej chyba próbki jakiekolwiek. Starszy subiekt przyjmuje nas z wyszukaną grzecznością, przykładając rękę do serca i kłaniając się wpas, zaprasza nas na kanapę i częstuje herbatą. Dziwny smak tej herbaty, nadzwyczaj pachnącej, pochodzi z domieszki jaźwinu, a mylnem jest mniemanie, jakoby chińczycy pili sam kwiat herbaty. Prawda, że w nadzwyczaj małych ilościach dają go do czarnej herbaty, ale wyłącznie tylko dla zapachu, nie dla smaku. Zrazu rozmowa toczy się o rzeczach najobojętniejszych, a gdy wreszcie po wypiciu herbaty przechodzi się do kupna, to trzeba się targować bez końca, bo za każdą rzecz w dwój i trójnasób żądają. W Kiachcie wybór towarów bardzo mały, kilka jednak ślicznych, ręcznych haftów i wachlarzy ręcznie rzeźbionych, udało mi się kupić.

Po wyjściu z magazynu zwrócił naszą uwagę wielki dzwon, dzwoniący nieustannie; okazało się, że się zaczyna przedstawienie teatru ludowego. W Chinach teatr jest bezpłatny. Scena nieduża, przedstawia rodzaj pokoju, z jednej strony otwartego, a widzowie pomieszczają się gdzie i jak kto może pod gołem niebem. Aktorowie ucharakteryzowani, na przednim planie wygłaszają swoje role, muzyka, składająca się z kotłów, piszczałek, cymbałów i rodzaju jakiejś niemożliwej basetli, niemiłosiernie gra i rzempoli za aktorami w głębi sceny. Dekoracyj niema żadnych, wszystko trzeba sobie wyobrazić. Wychodzi np. na scenę aktor, podnosi nogę i naśladuje chwytanie cugli, trzeba więc sobie wyobrazić, że siada na konia inny znowu, siedząc na stołku, wykonywa rytmiczne ruchy, jakby wiosłował, to znaczy, że płynie łódką i t. p. Wówczas grali jakąś sztukę o treści nader swawolnej i szanowni widzowie głośnym śmiechem witali każdy dowcip grających. Role kobiet grają mężczyźni nader plastycznie, przytem tak umieją kobiece naśladować głosy, że zdaleka łatwo się można omylić.

Wypadłszy z teatru i obejrzawszy rynek, na którym kilkunastu Mongołów targowało się zawzięcie z Chińczykami o konie, wróciliśmy do domu.

Na drugi dzień zwykłą pocztą pojechałem do Petrowskiego, a stamtąd koleją przez Bajkał do Irkucka, szczęśliwie powróciłem do domu.

Wogóle podróż nie nader pomyślnie nam się udała. Towarzysz zachorował*), a w polowaniu ciągłe niepogody nadzwyczaj nam przeszkadzały. Sześć niedźwiedzi, trzy jelenie, kilkanaście kozłów i parę setek

*) W lipcu r. z. dowiedzieliśmy się od p. Feliksa, którego mieliśmy przyjemność poznać osobiście, że uczestnik tej wyprawy, Anglik, umarł w powrotnej drodze do Europy. (*Przyp. Red.*).

ptactwa różnego—oto rezultaty, które mogły być nierównie lepsze, żebyśmy najlepszego czasu na bezcelowej jeździe po pustej miejscowości nie stracili.

W jesieni mam zamiar wybrać się tam ponownie i dotrzeć aż do Ussuryjskiego kraju, by spotkać tam szlachetniejszą zwierzynę, a może i tygrysa, i mam nadzieję, że wówczas lepszemi będę mógł się pochwalić rezultatami.

C. W.

TYDZIEŃ POLOWANIA NA NIEDŹWIEDZIE
w nowogrodzkiej guberni.

(*Ciąg dalszy*).

Przed północą dojechaliśmy wreszcie do Ruguja i zatrzymaliśmy się u rządowego leśnika, u którego, dzięki uprzejmości pana leśniczego, znalazłem na piętrze dwa przygotowane, czyste i ciepłe pokoje. Po chwili zjawili się tropiciele, wywabieni z chat odgłosem dzwonków pocztowych, i zacząłem omawiać kwestyę polowania.

Pokazało się jednak, że w rzeczywistości, choć mają w pobliżu dwa niedźwiedzie, są one już komu innemu sprzedane. Rozpacz ogarniać mnie zaczynała, gdy nagle we drzwiach ukazał się świeżo przybyły człowiek z Tichwina, donosząc, iż niedźwiedź dla mnie zamówiony, znajduje się o 35 wiorst i że polowanie na niego obstalowane na jutro. Wyjaśniła się więc pomyłka i uradowany udałem się na spoczynek. Nadszedł dzień upragniony, szary coprawda, ale jaki radosny.

Wychyliwszy dwie szklanki herbaty, wcześnie z przewodnikiem ruszyliśmy z domu, spiesząc na punkt zborny, od którego tak bardzo jeszcze byliśmy oddaleni. Tymczasem po drodze zatrzymały nas sanie, ku nam jadące, z których wyskoczyło dwóch nowych tropicieli, a właściwie kupców; oni to od tropicieli niedźwiedzie obłożone kupują, odprzedając je potem myśliwym. Dowiedzieli się o moim przyjeździe i pospieszyli do mnie z usługami. Jeden ofiarowywał 8 niedźwiedzi pod samym Tichwinem, drugi aż 17, ale trochę dalej. Nie mając jednak czasu na długie rozmowy, kazałem im jechać za sobą, odkładając ułożenie dalszych planów na wieczór.

Po przeszło dwugodzinnej jeździe stanęliśmy we wsi Owincowo, gdzie nas oczekiwał tropiciel i „zapuda", przeważnie z kobiet złożona. Przesiedliśmy się niezwłocznie na małe, jednokonne saneczki i wyjechaliśmy wkrótce, jadąc sznurkiem jeden za drugim do kniei. Śniegu, według mnie, dużo, choć innego byli zdania miejscowi ludzie, przyzwyczajeni do srogich, bardzo śnieżnych zim. Mnie jednak do kolan w lesie dochodził i szczęście prawdziwe, żem na gorszą zimę nie trafił, bo chodzenie na łyżwach utrudniałoby mi znacznie polowanie, a silne mrozy dawałyby się srodze we znaki palcom i uszom, tak na polowaniu potrzebnym.

Mieliśmy 7 wiorst do „krugu" ostępu. Tam oczekiwał „okładczik" (człowiek, który dniem i nocą niedźwiedzia pilnuje, obchodząc ostęp wokoło) i wydeptaną ścieżką poprowadził mnie wzdłuż ostępu. Idzie się jeden za drugim, stawiając stopy w trop przewodnika, a biorąc pod uwagę, że się ma niewygodne filce na nogach, długie tego rodzaju chodzenie bardzo jest uciążliwe, przy bardzo głębokim zaś śniegu, wprost niemożliwe.

Uszliśmy tak z pół wiorsty, przedzierając się przez gąszcze liściastych młodniaków, łozą podszytych, gdy nareszcie przewodnik mój stanął i wskazał stanowisko. Miejsce, pod względem wygodnego strzału, nie mogło być gorzej wybrane. Dokoła gąszcze zwarte i strzał możliwy tylko na bardzo krótką metę. Zwracam mu na to uwagę, zapytując, czy nie ma gdzie dalej lepszego punktu, tu bowiem mogę bardzo łatwo i do strzału nie dojść, nawet widząc niedźwiedzia, a trudno przecie, aby tak napewno blizko mnie wyszedł. Na wszystko odpowiada mi, iż to jest jedyne miejsce pewne, gdyż stoję na jesiennym przechodzie. Trudna rada; musiałem z losem się pogodzić.

Stanąłem tedy na wyznaczonem stanowisku i po westchnieniu do św. Huberta, prosząc go o kapkę szczęścia, począłem upatrywać sobie możliwe luczki do strzału.

Tymczasem „zapudę" pomału oprowadzano. Podziwiałem karność tych ludzi, zwłaszcza najczęściej tak niesfornie zachowujących się kobiet. Szli w głębokiem milczeniu i spokojnie zajmowali wyznaczone sobie miejsca; było ich stu pięćdziesięciu. Najbliższy odemnie zapudnik stał o kroków 30; za mną Bolesław z gotowym Mauzerem.

Z podwójnym sztucerem w ręku oczekiwałem hasła, pilnie wpatrując się w gąszcze. Naraz rozległ się strzał jeden, za nim drugi i trzeci. Snać niedźwiedzia w barłogu doszli i ruszyli. Jednocześnie ryknęła i zapuda, ostęp okrążająca, nieustannym krzykiem witając hasło i nadając kierunek wypłoszonemu śpiochowi. Koło mnie cisza podstępna i oczekiwanie. Stałem spokojnie, patrząc w stronę, skąd spodziewałem się zwierza, gdy poczułem rękę mego strzelca na ramieniu, znak, że niedźwiedzia zoczył. Zobaczył go, jak szedł na nas od prawej strony, przystawając co chwila i strzygąc uszami. Aż i zapudnik sąsiedni zakrzyknął: „Barin, wot on" i ujrzałem go przed sobą na kroków 30, walącego już galopka ua kulawy sztych.

W pierwszej luczce przepuścić go musiałem, nie mając go dobrze na celu; przerzuciłem na drugą bliszą, ujrzałem tym razem dobrze komorę; strzał się rozległ i z rykiem niedźwiedź się zwalił.

Posłałem mu ponowną kulę pod ucho i było po wszystkiem.

Ślicznego i dużego, rudego niedźwiedzia miałem pod nogami, pierwszego niedźwiedzia, więc też i radość moja nie miała granic, a nadbiegli, na strzały, tropiciele winszowali mi pięknej zdobyczy. Ważył 340 funtów.

B. I. T.

(*C. d. n.*).

TAŁYSZ.

(*Ciąg dalszy*).

7 stycznia. Mniej już dzisiaj liczymy na spotkanie się z grubym zwierzem; polujemy w nizkich zaroślach i strzelać mamy do wszystkiego, co szczodra ręka św. Huberta wyprowadzi nam na linię. Wystrzałem dano sygnał, stojące, gdzieś daleko nagance. Jeszcze Tałysze nie ruszyli, gdy szary grzbiet wilka błysnął mi w gąszczach, lecz zanim zdążyłem strzelić, już znikł mi z oczu. Huknęło koło mnie, zajęczała w powietrzu kula i chybiony przez mego sąsiada bażant, przeciągnął przez linię; ale nie śmiej się dziadku z cudzego upadku, bo i mój bażant, haniebnie chybiony, z wesołem kwoktaniem i podniesionym na fuszera ogonkiem, przeleciał nad mą głową. Na lewem skrzydle, gdzie stoi p. W., padło kilka strzałów; zabity dzik, maciora i warchlak. W drugim miocie sędzia, pan K., zabija pięknego, burego lisa, ja strzelam do biegnącego na sztych szakala, kula głęboko uwięzła w dębie, a zwierzątko zdrowe dalej poszło. Zmieniamy znów miejsce i stajemy w strasznym gąszczu. Ja zabijam lisa, a p. sędzia ślicznego, trzcinowego rysia.

Widziałem kręcące się szakale, lecz ostrożny ten zwierz nie wyszedł nigdy na dogodny strzał. Na prawem skrzydle padł znów dzik, perski kozioł, zając i kilka kaczek. Ostatni miot wypadł zupełnie niefortunnie, dziki pozostały w ostępie, wilki wykręciły się bokiem w pole, tylko bażanty, słonki i powracające z żerowisk orły na noclegi, zjawiały się w wielkiej ilości. Że polowania w pełnej zwierza puszczy, nie odniosło pożądanych rezultatów, wypływa to głównie stąd, iż polując w trzy fuzye, zajmowaliśmy zbyt małą przestrzeń, przyczem nieraz do strzałów z powodu gąszczu, zbyt mało mieliśmy miejsca, to znów stojąc ze sztucerem w ręku i oczekując grubego zwierza, przepuszczało się mnóstwo drobniejszej zwierzyny, którąby od śrótówki bezkarnie nie uszła.

8 stycznia. Rozłożono naszą zdobycz, ustawiono aparat i jakiś partacz, fotograf z Pryszyba, zdjął nasze fizyonomie, ale nader nędznie. Przed odjazdem przyniósł jakiś tatar świeże, piękne dwie skóry niedźwiedzie, miał szczęścia widocznie więcej, niż my. Zbieramy się do odjazdu. Nie bez żalu żegnam właściciela naszej kwatery, Skrypnikowa, dalej Mortuzę, Irzali, Alego Oglę, Junusurema, Mustaiba, Szafalanga, Seid Rogima, Kerbułaja Chan Kuszi Oglę, Abaza Hurseina Abiul Habit Meszadi Fatali Oglę, Agę Murse Kerin Ruffulę i innych siadamy na maleńkie, pocztowe „duszogubki“ i ruszamy. Trakt Salian do Lenkorania prowadzi przez żyzne doliny Mughańskiego zagłębia, co chwila zbliżając się ku brzegom morza, to oddalając się na daleką przestrzeń od nich, dotyka licznych pól ryżowych, obfitych pastwisk, przeszywa co chwilę jakąś większą rzekę, mniejszy strumyk, głęboki rów, okala wiele jezior, błot i trzęsawisk. Wszędzie moc ptactwa. Trójkąty gęsi przecinają nam drogę, stada kaczek z wrzaskiem przelatują z jezior na rzeczki, pojedyńcze kormorany, gawronki i karele, uwijają się nad rybnemi strumieniami, lub rozstawiwszy szeroko skrzydła, siedzą nieruchomie na kamieniach, lub przydrożnych palach, a na każdym niemal słupie telegraficznym odpoczywa orzeł, czatuje na zdobycz sokół drapieżny. Palimy z sędzią do wszystkiego, co tylko na bliższą metę podejść lub podjechać się daje, i kilka pięknych egzemplarzy wzbogaca mą kolekcyę. Nie tak trudno tu zabić ptaka, jak trudno go dostać. Zabiłem śliczną, błękitną sułtankę*), lecz w trzęsawiskach i trzcinach dostać jej nie mogłem, i większa część zdobyczy w podobny sposób przepada. Nie zapomnę nigdy widoku kilkudziesięciu sułtanek, które, jak stado pentarek, szybko po wierzchu połamanych trzcin i sitowi zmykały, to wzlatując, to opuszczając się. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o wesołem polowaniu na szakala, dla mnie mającego wielki urok. Od ostatniej pocztowej stacyi Kumbaszy, droga prowadzi nad samym brzegiem morskim, a czasami tak się zbliża, że fala zalewa przydrożne koleje. Wyrzucone przez bałwany ryby, zwabiają tu z sąsiednich zarośli całe stada zgłodniałych szakali. O ile te marne stworzonka w dzień są ostrożne i chytrze umieją unikać spotkania się ze strzelcem, o tyle z zapadającym zmrokiem stają się natrętnie odważnemi. Uganiając się za żerem, szakal podchodzi pod szałasy koczowników i rybaków, kręci się pod nogami koni przejeżdżających, nie zwraca uwagi na przechodnia. Mówią, że nawet objada rzemienie obuwia śpiących pastuchów. Mimo ciemności nocnej strzelałem dużo do tych płaczących włóczęgów nocnych i czasami z pomyślnym rezultatem. Sądzę, że przy księżycowej nocy możnaby jednego wieczoru nawet kilkanaście sztuk upolować, taka ich tu obfitość nawet na przedmieściach Lenkorani nierzadko się spotyka.

Dżyl, 10 stycznia. Pięć lekkich łodzi odbiło od brzegu Lenkorania, a popychane krzepkiemi ramionami Tałyszów, którzy i w tej sztuce okazali się niepoślednimi mistrzami, wypłynęły na wody wspaniałego Morza. Tu już krajobraz zupełnie nowy, inny od dotąd widzianych. Gładkie lustro kilkunastowiorstowej przestrzeni wodnej, obramowane nieprzejrzanemi oczeretami, służy za miejsce dziennego wypoczynku wodnemu ptactwu, które, pomimo różnorodności swej, w tak harmonijnym siedziało tu spokoju. Patrząc na ten uroczysty spokój, nie miałem odwagi strzałem go zakłócać, z zachwytem przyglądałem się tej masie nieprzeliczonych kormoranów, mew, nurów, łysek, świstunów grzechotek, cyraneczek, rożeńców, płaskonosów, czernic, ogorzałek, hełmiastych, wzorzystych, turpanów i wiele innych przedstawicieli kaczej rodziny, a szara, purpurowa i biała czapla, nieruchomie stojąca w oczeretach, lub majestatycznie nad brzegiem przechadzająca się, dopełniały pięknego tego obrazka. Na błotach prześcigały się w uganianiu za zdobyczą kulony, czajki, bekasy, w trzcinach stękała sułtanka, kwilił myszołów. Ale oto i Dżyl, o którym pan W. tak obszernie w „Łowcu Polskim“ w roku zeszłym wspominał.

Wł. Czerniejewski.

(*C. d. n.*).

Z Ogólnego Zebrania.

W dniu 14 maja odbyło się pierwsze doroczne Ogólne Zebranie Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Członków zebrało się 44. W zastępstwie prezesa przewodniczył Zebraniu p. Blumental. Na asesorów zaproszeni zostali pp. A. Biesiekierski i K. Potworowski; na trzymającego pióro p. St. Kutzner.

Po zatwierdzeniu protokólu z poprzedniego Ogólnego Zgromadzenia, przystąpiono do rozpraw nad sprawozdaniem Rady. Ponieważ sprawozdanie z działalności za 1903 r. było uprzednio rozesłane wszystkim Członkom Oddziału, nie odczytywano go więc na posiedzeniu.

My, ze swej strony, informując szczegółowo naszych czytelników w ciągu całego roku o działalności Towarzystwa, uważamy również za zbyteczne, obszerne streszczenie sprawozdania i ograniczymy się tylko na przytoczeniu niektórych danych, reasumujących tę działalność w cyfrach. Wogóle interesy Towarzystwa stoją dobrze. Liczyło ono w roku sprawozdawczym Członków Honorow. 4, Stałych 223, Rzeczywistych 599, w tem 281 warszawskich i 318 prowincyonalnych. Dochody wynosiły 49,953 rb. 88 kop., wydatki zaś 38,304 rb. 66 kop. Majątek Oddziału wyraża się w sumie 74,998 rb. 33 kop.

Sprawozdanie nie nastręczyło przedmiotu do dyskusyi, natomiast wywiązały się rozprawy z powodu wniosków Komisyi Rewizyjnej.

W punkcie 5 Komisya Rewizyjna zwraca uwagę Wydziału Ochrony i polowań, że stał on się czysto administracyjnym, t. j., że zajmuje się tylko administrowaniem, dzierżawami myśliwskiemi—i niczem więcej. Komisya rewizyjna cytuje w tem miejscu art. 3 Ustawy, który wskazuje, że głównym celem Towarzystwa winno być skierowanie myślistwa w całym kraju na racyonalną drogę, t. j. pielęgnowanie zwierzyny łownej, tępienie kłusowników i t. p. „Tymczasem—brzmi protokół Komisyi Rewizyjnej—jedna część Członków dąży do rozwinięcia życia klubowego, druga zaś stara się o pozyskanie dla siebie jaknajwiększych terenów do polowania, a tylko bardzo mała liczba Członków rozumie właściwy cel, do jakiego winno dążyć Cesarskie Towarzystwo rozmnażania zwierzyny łownej“. Komisya dalej wyraża obawę, że z tego powodu Towarzystwo może stracić swoich Członków prowincyonalnych, a nie mając ich, nie będzie mogło spełnić rzeczywistego swego zadania.

*) Rodzaj południowej kurki wodnej. (*Przyp. Red.*).

Ta opinia Komisyi Rewizyjnej uległa krytyce. Zabierali głos pp. Br. Wysocki, Paszkowski, Wigura i Fabjan. Mówcy wyjaśnili, że jeżeli zarzut powyższy może egzystować, to w każdym razie winien być skierowany do całego Towarzystwa, a nigdy do Wydziału Ochrony i polowań, który ma cele określone, a gra rolę pomocniczą. Rada jest głównym przedstawicielem Towarzystwa i ona troszczyć się powinna o skierowanie działalności Towarzystwa na właściwe tory. Zarzut jednak Komisyi nie może w danym razie dotyczyć i Rady, bowiem Rada w miarę sił i możności stara się o ustawiczne powiększenie przestrzeni miejsc ochronnych, których w roku sprawozdawczym przybyło 1,487 dzies., tak, że wynoszą one obecnie 72,763 dzies. Stara się również o tępienie kłusownictwa, bowiem za 4,246 sztuk broni myśliwskiej, odebranej kłusownikom, wydała straży ziemskiej nagród na ogólną sumę 3,046 rb.

Wogóle dyskusya wyjaśniła, że Komisya nie stawia tego zarzutu kategorycznie ani Wydziałowi, ani Radzie, lecz pragnęłaby, aby działalność Towarzystwa w tym kierunku się wzmogła, w czem tylko najlepsze chęci Komisyi upatrywać należy.

Wiecznie powtarzające się narzekania Komisyj Rewizyjnych na znaczne zaległości w opłatach składek Członkowskich, znalazły oddźwięk i w tegorocznym protokóle. Nie przedsiębiorąc żadnych nadzwyczajnych środków egzekucyjnych, Zebranie poruczyło i nadal Radzie starania o zmniejszenie tej cyfry.

Wreszcie stosownie do wniosku Komisyi postanowiono wyasygnować urzędnikom kancelaryi gratyfikacye stosownie do uznania Rady, a intendentowi lokalu przyznano 500 rb. gratyfikacyi.

Zamykając na tem obrady nad sprawozdaniem rocznem, zatwierdzono następne wnioski:

1. Listy kandydatów na urzędy w Towarzystwie winny być składane najpóźniej na 3 dni przed Zebraniem Wyborczem.

2. Kandydaci na I polowanie na toki cietrzewi, winni być losowani w przeddzień polowania, stosownie do ilości budek. Jest to uzupełnienie regulaminu o polowaniach zbiorowych.

3. Wniosek o podwyższeniu wpisowego od nowych Członków Warszawskich odrzucono.

Na zakończenie Ogólne Zebranie podziękowało delegatom pp. Blumentalowi i Paszkowskiemu za ich wyjazd do Moskwy w interesach Towarzystwa.

Następne Ogólne Zebranie wyborcze odbędzie się w d. 25 maja. Mamy nadzieję, że Zebranie to będzie liczniejsze od sprawozdawczego, bowiem idzie o wybory osób, w których ręce powierzone będą dalsze rządy w Towarzystwie. Chwila to zawsze ważna w życiu każdego stowarzyszenia, a, niestety, powszechnie z obojętnością traktowana. Zachęcamy przeto najgoręcej wszystkich, którym dobro Towarzystwa leży na sercu, aby w tem Zebraniu czynny udział wziąć chcieli.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 4 maja. Właściciele trzech miejsc ochronnych zażądali zmiany stróżów przy miejscach ochronnych, przedstawiając nowych kandydatów. Rada uczyni zadość żądaniu po ściągnięciu opinii o prowadzeniu się przedstawionych kandydatów.

Wyasygnowano na zasiłek dla Kolonij letnich 50 rb.

W dzisiejszym numerze podajemy sprawozdanie z Ogólnego Zebrania z d. 14 maja. Drugie Ogólne Zebranie wyborcze odbędzie się w d. 25 maja. Na zebraniu tem przedstawiony będzie do zatwierdzenia budżet na rok bież., oraz dokonane wybory: 5 Członków Rady; 2 Członków Wydziału Ochrony i polowań; prezesa, sekretarza i 5 Członków wydziału hodowli psów myśliwskich, oraz 20 Członków Delegacyi Wyborczej i 6 zastępców. W roku bieżącym wychodzą z Rady: hr. Ksawery Branicki, hr. Wł. Wielopolski i p. Al. Szwede. Z Wydziały Ochrony i Polowań wychodzą pp Paszkowski i Wigura. Według brzmienia ustawy mandataryusze, kończący swoje kadencye, mogą być wybrani ponownie.

Na temże Ogólnem Zebraniu rozpatrywany będzie wniosek, w przedmiocie urządzenia hodowli zwierzyny na sprzedaż do rozpłodu, t. j. żywej zwierzyny.

Posiedzenie Rady, 11 maja. P. Gubernator płocki nadesłał wykaz broni, odebranej od kłusowników przez straż ziemską w 1903 r. Wykaz obejmuje 124 strzelby. Postanowiono wysłać na nagrody dla straży ziemskiej 65 rb.

Po uzyskaniu pozwolenia na urządzenie w r. b. wystawy psów, tak, jak w r. z., Rada postanowiła zaprosić do Komitetu Wystawowego pp. Jana Sztolcmana, Wacława Oppenheima, hr. Al. Ilińskiego-Kaszowskiego, Bortnowskiego, Br. Wysockiego, Wacława Paszkowskiego, Józefa Zarembskiego i Antoniego Fabjana. Komitet w d. 15 maja odbędzie pierwsze posiedzenie, poczem bezzwłocznie rozpoczną się roboty około urządzenia pomieszczenia wystawy. Zapowiada ona się bardzo dobrze, dziś już bowiem jest kilkanaście zapisów, interesanci zgłaszają się licznie po informacye do kancelaryi Oddziału. Z zapisami spieszyć należy, aby miejsca na Wystawie nie brakło. Otwarcie Wystawy nastąpi w d. 26 maja, zamknięcie zaś w d. 29 wieczorem.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 9 maja, następujący kandydaci wybrani zostali na Członków Rzeczywistych naszego Oddziału: pp. Iniew Iłarjon z Warszawy, Zakrzewski Władysław z Małachowic, Rodys Władysław z Warszawy, hr. Tarło Józef z Warszawy, Kołakowski Feliks z Warszawy i Pruszyński Bronisław z Warszawy.

Drobiazgi myśliwskie.

Stan zajęcy zapowiada się na rok bieżący pomyślnie. Zewsząd dochodzą nas głosy o licznych i zdrowych łęgach. Myśliwi widują też dużo kuropatw w parach, co daje nadzieje tworzenia się licznych gniazd. Czy wylęgną się z nich stada,—zależy od pogody.

Wilk w Kijowie. Gazety kijowskie piszą, że ogrodnicy „Cesarskiego ogrodu“ w Kijowie spotkali uwijającego się po ogrodzie wilka. Zaczęli go gonić. Wilk wskoczył do sąsiedniego ogrodu klubu kupieckiego. Tutaj otoczyli go wszyscy ogrodnicy ze sznurami i łańcuchami, poczem schwycili go żywego. Zaprowadzili go następnie do cyrku, sądząc, że stamtąd uciekł. Pokazało się jednak, iż wilk nie pochodzi z cyrku. Odprowadzono więc zwierza do policyi.

Jastrząb w Warszawie. Niedawno na placu Grzybowskim liczne tłumy przypatrywały się jastrzębiowi, który pochwyciwszy gołębia, usadowił się na wieży kościoła WW. Świętych i tam spożywał swą zdobycz, o czem świadczyły fruwające pióra. Z gwizdania i krzyków tłumu jastrząb nic sobie nie robił, czując się na wysokiej wieży zupełnie bezpiecznym.

Niszczenie gniazd wronich. W ogrodzie Saskim od strony ul. Hr. Kotzebue usadowiły się bardzo liczne wrony, które krakaniem niepokoiły mieszkańców pobliskich. Administracya ogrodu zarządziła „wyprowadzkę“ wron przez popsucie im gniazd. Czynności tej towarzyszył olbrzymi krzyk wron i gawronów, oraz głośne i długotrwałe krakanie. Ptaki przeniosły się na Saską Kępę i do parku Łazienkowskiego.

Wynalazek Polaka. 20-letni Wojciech Ludwig, Polak z Górnego Szlązka, górnik z zawodu, dokonał wynalazku w dziedzinie konstrukcyi broni. Wynalazł mię-

dzy innemi dwa nowe systemy strzelb. Ludwiga, nierozumiejącego po niemiecku, powołano do ministeryum wojny, celem dokonania prób z tym wynalazkiem.

Słonki w Sławonii. Miejscowość Miholjac, w Sławonii, posiada historyczny teren, na którym gromadzi się najwięcej słonek. W roku bieżącym od 14 do 24 marca podczas ciągu ubito 544 sztuk. Od r. 1853, w którym padła tam olbrzymia liczba, bo 1,005 słonek, w żadnym roku nie ubito tyle tych ptaków, co w roku bieżącym.

Wystawa piesków pokojowych odbędzie się w Leodyum w Belgii p. t. *„L'exposition des chiens des dames"*.

Suchary dla psów. Gdy profesor Drygalski, przewódca wyprawy do bieguna południowego, przed trzema laty wybrał się w tym celu w drogę, zabrał z sobą — za poradą słynnego Nansena — jako pokarm dla psów ładunek sucharów Spratta. Powróciwszy z wyprawy antarktycznej, prof. Drygalski oświadczył, że to jedyna i właściwa żywność dla psów, z któremi się wybieramy w daleką drogę. Suchary te bowiem nie psują się nawet po upływie lat wielu.

Psy pod zwrotnikiem. Niektórzy przyrodnicy twierdzą, że psy w klimacie podzwrotnikowym tracą zupełnie powonienie. Hypoteza ta, która zresztą nigdy nie była stwierdzona dostatecznie, obecnie okazuje się zupełnie bezpodstawną. Podróżnicy bowiem dowodzą, że aczkolwiek psy europejskie, istotnie stają się po przewiezieniu do krajów gorących, mniej roztropnemi i zmyślnemi, jest to jednak następstwem nieumiejętnego hodowania ich i karmienia, jak również upałów, odbijających się fatalnie na ogólnym stanie zdrowia psów naszych. Powonienie ich więc przytępia się na równi z innemi władzami, ale nie ginie zupełnie. Psy, pozbawione powonienia, wyglądają bowiem całkiem inaczej i zdradzają kalectwo swe na każdym kroku. Doświadczenia, robione w tym kierunku, dały ciekawe rezultaty. Tak naprzykład, szczenięta, którym wycięto nerwy powonienia, nie mogły znaleźć więcej piersi matki i trzeba je było odtąd żywić sztucznie. Gdy wyrosły, sprawiały wprost wrażenie ślepych, nie poznawały swoich panów, nie rozróżniały jedzenia, chleba i mięsa — od błota, nie mogły trafić do miski z wodą, stojącej o kilka kroków. Psy pod zwrotnikiem nie objawiają wszystkich tych symptomatów, to zaś, że niezdatne stają się do polowania, tłómaczy się ich niezdrowiem i osłabieniem ogólnem, oraz w pewnym stopniu właściwościami zwierzyny, całkiem im obcej.

Strzelanie do sztucznych gołębi. W lesie pod Neudamm, w Niemczech, zapowiedziany jest konkurs strzelania do gołębi sztucznych. Rozpocznie się on we czwartek, d. 23 czerwca i zakończy się w sobotę, dnia 25. Na pierwszy dzień przeznaczono 100 gołębi asfaltowych, z których 25 rzucać się będzie na odległość 14 metrów, 25—na 16 m., 25 na 18 m. i 25—na 20 m.

Tępienie drapieżników. Gubernator Afryki niemieckiej ogłosił sprawozdanie, według którego od 1 kwietnia 1902 r. do 31 marca 1903 r. wypłacono 11.662 rupij (około 8,000 rb.), jako premia za tępienie drapieżników w tamtych stronach. Między innemi zabito: 187 lwów i 988 lampartów. Lwy pożarły przez ten czas 51 ludzi, zamieszkałych w okręgu Dar-es-Salam. Biorąc pod uwagę fakt, że ludność murzyńska z powodu jakichś przesądów nie donosi władzy o podobnych wypadkach, można liczbę ludzi pożartych bez przesady podwyższyć do 150.

Hr. Waldersee. Zmarły niedawno feldmarszałek żywo się zajmował myślistwem i hodowlą psów. Był też prezesem kilku takich klubów niemieckich. Ulubionemi psami Walderseego były jamniki, których posiadał wiele i najpiękniejsze okazy.

Powrót wyprawy. Niedawno powróciła do Europy wyprawa podbiegunowa, pod wodzą profesora Drygalskiego. Nagromadzony materyał naukowy, bardzo bogaty, wymaga jeszcze kilkoletniego badania, kontroli i uporządkowania, zanim można go będzie ogłosić. Wyposażenie wyprawy przez rząd niemiecki było doskonałe, nie brakło niczego. Psy zabrane służyły wybornie w zaprzęgu i wykazały wielką wytrzymałość. Kiedy napór lodowy pędził statek „Gaussa" nieustannie ku północy, musiano psy ze względów na szczupłe zapasy żywności wybić, pozostawiając tylko sześć sztuk. W drodze powrotnej rozmnożyły się one znowu tak, że do Kielu przybyło ich 30 wielkich i małych. W czasie zimy uprawiano rybołówstwo. Poczyniono cenne spostrzeżenia o życiu zwierząt w przestrzeni i czasie.

Ptaki w przestworzach. Coraz częstsze wycieczki aeronautyczne pozwoliły na zrobienie ciekawych obserwacyj co do wysokości, na jakie mogą się wznieść różne gatunki ptaków. I tak, aeronauta Hergesell ze Strasburga w czasie swych wzlotów spotkał orła na wysokości 3000 metrów, a innym razem dwa bociany na wysokości 900 metrów. Skowronki widziano na wysokości 1000 m., a wrońce na 1400 metrów ponad poziomem morza.

W każdym razie te spotkania można uważać jako wyjątkowe. Powyżej 1000 metrów bardzo rzadko spotyka się ptaki. Nawet powyżej 400 metrów liczba ich jest nadzwyczaj ograniczona. Większość trzyma się zony do wysokości 400 metrów.

Ornitologiczne towarzystwo niemieckie poczyniło próby nad zachowaniem się ptaków w górnych warstwach powietrza. Puszczano mianowicie różne ptaki, a osobliwie gołębie, z wysokości 900 do 3000 metrów. Jeśli atmosfera była czysta, to ptaki spuszczały się prawie prostopadle na dół; przeciwnie, gdy dolne warstwy powietrza zalegały chmury, wówczas ptaki kręciły się czas jakiś wkoło balonu i puszczały się dopiero na dół, gdy się w chmurach luka robiła. Zresztą następujące doświadczenie wykazało znaczny wpływ mgły na zdolność oryentowania się gołębi. Puszczano gołębie o 50 kilometrów od ich siedziby podczas mgły. Pierwszy z nich przyleciał dopiero po 3 godzinach; drugi w godzinę później, a reszta przybyła dopiero pod wieczór, chociaż puszczono je rano. W czasie zaś pogodnym gołębie tę samą drogę odbywały średnio co 45 minut.

Dziwna pretensya. W ostatnim miocie chybiłem pysznego kozła.

— Przepraszam, to ja go chybiłem.

* * *

Aforyzmy. Nadzieja to jak ta kura: więcej jaj znosi, niż może wysiedzieć.

Zimne pocałunki — to strzał ślepemi ładunkami.

* * *

Humanitarny członek towarzystwa opieki nad zwierzętami:

— Wiecie państwo, jabym nie miał sumienia zabić muchy, ale woźnicę, który maltretuje konia, zastrzeliłbym bez pardonu.

Treść Nr. 10 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Мая 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.